EPOKA

ROK III. Warszawa, 5 grudnia 1936 r. Rok III, Nr. 13 (78)

Treść numeru:

MIĘDZYNARODÓWKA REAKCJI ZAMYKA TRZECIE WYJŚCIE

Nie trzeba dzielić świata na dwa bloki wzajemnie się zwalczające, nie trzeba wskrzeszać widma wojen religijnych, walk orężnych o Wiarę i dogmaty — bo grozić to będzie ruiną cywilizacji całego świata, katastrofą, tragedią ludzkości — mówi ostrożna dyplomacja angielska. I tę formułę rozsądku powtarzają za nią politycy wielu państw, które by chciały ustrzec swoje narody — od pożogi wojny wszechświatowej. Nie kwestionując tej formuły mądrości dyplomatycznej, stwierdzić trzeba, że przybiera ona różną treść, czasem bardzo niebezpieczną, czasem wręcz zabójczą dla celu, któremu ma służyć. Najjaskrawszym przykładem tego jest sławetna nieinterwencja w sprawach hiszpańskich. Formuła piękna, dopóki głosi się ją w towarzystwie dobrze wychowanym i uczciwym, wyprana zaś z wszelkiej treści, gdy w jej wykonaniu uczestniczyć mają rozbójnicy, albowiem przybiera wtedy postać tołstojowskiego niesprzeciwiania się złemu. A to zło na świecie mobilizuje się gorączkowo i coraz energiczniej, bo sprawcy jego czują, że wybijają godziny na zegarze dziejów, niosące ze sobą koniec ich władztwa. Dziś jeszcze są w apogeum potęgi, jutro — nadejdzie ich kres. Można to twierdzić z całą głębią przekonania, jeżeli zestawi się mknące szybko przed nami wydarzenia, w których na zmianę ponurym wieściom o tryumfach obozu reakcji, niewoli i zniszczenia kultury ducha pojawiają się błyskawice zwycięstw ducha wolności. Im więcej ich jest, im bardziej są wymowne, tym sprężyściej zaczyna działać obóz gwałtu i ciemnoty.

Od pierwszej połowy listopada, kiedy to wszystkie surmy i fanfary zjednoczonego klerykalizmu i reakcji na świecie grały hymny zwycięskie na cześć „wkraczającego do Madrytu na białym koniu gen. Franco" zaszedł w położeniu Hiszpanii zasadniczy przełom. Rząd legalny hiszpański przeniósł się wprawdzie do Walencji, ale pozostała w stolicy rada obrony Madrytu prowadzi z niesłychaną energią obronę stolicy i hasło ludu hiszpańskiego „non passaron" (nie przejdą) zostało urzeczywistnione. Dymią wprawdzie zwaliska gmachów Madrytu, leje się krew kobiet i dzieci mordowanych bombami najemnych lotników włoskich i niemieckich, ale wojska zdrajcy ojczyzny gen. Franco nie zajęły Madrytu. Inicjatywa walk pod

stolicą przeszła w ręce armii republikańskiej i o ile nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, stworzone rękami sojuszu włosko - niemieckiego, Madryt stanie się grobem faszyzmu.

Odczuto to w Berlinie i Rzymie. Stąd nagłe uznanie rządu rokoszan w Burgos za władzę legalną Hiszpanii, stąd także zapowiedź blokady portów Hiszpanii przez buntownicze okręty gen. Franco i oczywiście wynajęte od Włochów i Niemców — łodzie podwodne.

„Italia faszystowska — głosi odezwa wydana przez rząd hiszpański w Walencji — znalazła w osobie Franco środek do obrócenia Hiszpanii na swoją kolonię i przyłączenia do korony cesarzów Abisynii , wysp Balearskich. Godnym współpracownikiem Italii są Niemcy narodowo-socjalistyczne, wielki nauczyciel w dziedzinie gwałcenia traktatów i zobowiązań międzynarodowych. Hiszpania republikańska i proletariacka po 4 miesiącach walk, wyszła z okresu improwizacji, dziś jest ona jednolitą, ożywioną jednym dążeniem, czego dowodzi wysyłka wojsk z Katalonii do Madrytu, Hiszpania dzisiejsza jest dosyć silną, aby zwyciężyć. Oprócz tego ma ona po swojej stronie międzynarodowy front ludu. Można liczyć na poparcie większości narodów demokratycznych. na wszystkich tych, którzy nie sądzą, aby pokój mógł opierać się na siłach napastniczych. Chcemy nie zawieść zaufania, które żywi sumienie powszechne dla Hiszpanii republikańskiej".

Nie tylko pod Madrytem, ale i na innych polach walk na półwyspie Iberyjskim, na które mniej są zwrócone oczy świata, zmienne koleje losów wojny przechylają się w ostatnich czasach na korzyść legalnego rządu ludowego hiszpańskiego. W Asturii, na terytorium autonomicznej republiki Baskijskiej pod Bilbao i na polach Aragonii — wszędzie na nowo zorganizowane i wyekwipowane zastępy ludu hiszpańskiego nie tylko mężnie stawiają czoło napastnikom, ale przechodzą do zwycięskich kontr-ataków. Wojska uznanego przez rządy Italii i Niemiec gen. Franco oprócz ohydnej propagandy pisanej jak gdyby specjalnie dla krakowskiego „I.K.C." nie mają nic do zakomunikowania oprócz przegrupowań dokonanych w celu przyszłych operacji wojennych i aktów korsarstwa na morzach, gdzie ostatnio zagrabiono nawet ładunek węgla polskiego, transportowany na statku greckim.

Cóż reprezentuje uznany rząd gen. Franco oprócz tego białego konia, który jest do obejrzenia w Pałacu Prasy w Krakowie? Madryt, Barcelona, Bilbao, Walencja — są w ręku rządu hiszpańskiego, cały lud pracujący Hiszpanii jest po stronie tego rządu, a armia gen. Franco według jego własnych komunikatów to oddziały tercio — a więc legia cudzoziemska z Maroka i Maurowie z tegoż Maroka. Czy to ma być uważane za armię narodową hiszpańską?

Berlin i Rzym pospieszyły z uznaniem, chcąc z jednej strony nastraszyć Francję i W. Brytanię, a z drugiej ułatwić sobie nielegalne transporty sprzętu wojennego dla rokoszan. Sadząc z reakcji, jaką wywołał krok rzymsko - berliński, pierwszy ze wskazanych celów nie został osiągnięty, w szczególności zaczepni partnerzy zepsuli sobie grę zapowiedzią gen. Franco o blokadzie. Tu uderzyli w czułe miejsce polityki brytyjskiej. Min. Eden oświadczył, że rząd brytyjski nie przyzna gen. Franco praw strony wojującej, nie może więc uznać jego blokady, a dla ochrony interesów brytyjskich na wody Hiszpanii skierował eskadry z wyspy Malty.

Zapowiedź rozbójniczego napadu na porty wschodniej Hiszpanii znalazła na razie wyraz jedynie w uszkodzeniu torpedą niemiecką krążownika rządowego „Miguel Cervantes" na redzie Kartageny.

Sojusznicy z Bechtesgaden po wspólnym wyzywającym kroku poczęli się rozglądać dokoła, co będzie dalej. Znakomity wódz francuski i dobry polityk marszałek Lyautey (z przekonań raczej sympatyk bloku narodowego) oświadczył jeszcze w czasie wielkiej wojny, że „przyjaźń Italii jest korzyścią, którą lepiej jest zawsze pozostawić swoim przeciwnikom". Najwidoczniej Hitler zdołał się o tym przekonać niemal nazajutrz po czułym spotkaniu z hr. Ciano. Bo oto, gdy Mussolini nawiązał daleko idące czułości z upadającym po zgonie Gömbösa reżymem węgierskim, zapewniając naród węgierski, że mu okaże całą swoją miłość, z Berlina rozległo się niespodziewane dla Budapesztu oświadczenie p. Rozenberga, szefa wydziału polityki zagranicznej partii hitlerowskiej, że Niemcy nie zamierzają upominać się o rewizję traktatu na rzecz Węgier, które gnębią u siebie mniejszość narodową niemiecką.

Minęło jeszcze dni kilka wśród duserów włosko - węgierskich, a z Berlina spada nowa bomba dyplomatyczna od niejakiego czasu zapowiadana: dnia 25 listopada podpisany został traktat niemiecko - japoński o wspólnym zwalczaniu III-ej Międzynarodówki. Tak to nazywa się w akcie dyplomatycznym, w gruncie rzeczy jest to oczywiście sojusz zaczepno odporny niemiecko-japoński przeciw Z.S.R.R. Mussolini pozostał na boku. Oczywiście otwarto mu dostęp do tego sojuszu. Ten akt stanowi dowód nowy gorączkowej akcji przygotowawczej czynników wojny, napaści, reakcji i zniszczenia przeciw pokojowi. Stanowi także nowy dowód, że siłą rzeczy świat rozbija się na dwa obozy i że tak zwane *trzecie wyjście* coraz bardziej istnieć może wyłącznie na dyplomatycznym suknie, a nie w rzeczywistości.

Oczywiście uznanie rządu gen. Franco przez Italię i Niemcy i sojusz niemiecko-japoński — to plusy, które reakcja zapisała na swoje dobro w ubiegłych tygodniach. Po drugiej stronie zanotowaliśmy dający otuchę przełom w położeniu na polu walk w Hiszpanii, a dorzucimy tu jeszcze pierwsze zwycięstwa wojsk chińskich nad japońsko-mandżurską watahą, która wtargnęła do od wiecznie chińskiej prowincji Suijuan, aby ją włączyć do nowego wasalnego państwa Japonii pod nazwą Mongolii Wewnętrznej.

Reakcja ma jeszcze jedną zdobycz w swoim stylu w tym okresie do zanotowania: tragiczny zgon francuskiego ministra spraw wewnętrznych Rogera Salengro. Zaszczuto oszczerstwem człowieka, który potrafił, jak to wskazał Herriot, w okresie ciężkich niepokojów, utrzymać spokój w całym państwie, nie plamiąc swych rąk przelaniem krwi francuskiej. To było właśnie głównym w oczach faszyzmu całego świata przestępstwem

Salengro, że jego niezmordowanej pracy, czujności i umiejętności Francja rządu ludowego zawdzięcza utrzymanie ładu i spokoju, okiełznanie awanturniczych „lig patriotycznych". Rząd Frontu Ludowego przeżył różne chwile mniej lub bardziej ciężkie, ale ostał się w całości oparty na nienaruszonym dotąd bloku partii demokracji i partii robotniczych, Wyznaczano różne terminy jego upadku, można terminarz taki odczytać w tytułach gazet polskich, sanacyjnych i endeckich. Żadna data nie sprawdziła się. Salengro stał się w oczach reakcji symbolem zawodu jej nadziei. Więc go szczuto i obrzucano błotem. Jeszcze teraz jeden z sanacyjnych korespondentów miał czelność dowodzić, że Salengro popełnił samobójstwo trapiony rozterką, że zobowiązał się do likwidacji strajków okupacyjnych, a nie może tego zobowiązania wykonać.

To pisze się i drukuje dziś, gdy ogłoszono listy zmarłego ministra, gdy pół miliona ludzi złożyło hołd zmarłemu w Lille, a drugie pół miliona w Paryżu. I oto znowu żywe zaprzeczenie wysiłkom dyplomacji na rzecz niedzielenia świata na dwa bloki. Ci, co doprowadzili Salengro do samobójstwa i ci, co jeszcze po jego śmierci chcą ukryć prawdę — i ci sami, którzy żywią sentyment dla zdrajcy gen. Franco, to ci sami, którzy z zadowoleniem dowiedzą się o sojuszu swastyki hitlerowskiej z japońską kulą czerwoną.

Wszyscy inni powoli, stopniowo idąc czasem drogami nieinterwencji gromadzą się w drugim obozie — obozie wolności i pokoju, w tym, z którego wyszła nagroda pokojowa Nobla dla wieloletniego więźnia Hitlera, Karola von Ossietzy'ego. A gdyby kto z nas w kraju nie rozumiał co to są za dwa obozy, niechaj sięgnie w przeszłość już przeszło stuletnią, której rocznicę teraz obchodziliśmy. Niech wspomni jak to było, gdy „naród do boju wystąpił z orężem..." w 1831 roku: gdy całe nieomal terytorium Rzplitej uwolnione było od wojsk najezdniczych carskich, Rząd Narodowy zabiegał u dworów, aby uznały prawowity rząd polski, który powrócił do swoich praw.... Panowało głuche milczenie w odpowiedzi, bo carat był mocny, mocniejszy, niż Hitler z Mussolinim razem. Dzisiejsi stronnicy gen. Franco, prześladowcy Salengro, chwalcy sojuszu włosko-niemiecko-japońskiego byliby po stronie caratu i nieinterwencjonistów z lat 1830—1831.

Z DNIA NA DZIEŃ

MOCNY POLICZEK.

Nagroda pokojowa Nobla dla Karola Ossietzky'ego to mocny, najmocniejszy policzek dla jego dręczycieli.

Ossietzky, oddany ideom pokoju i sprawiedliwości, przeżył okrutne pasmo cierpień fizycznych i moralnych. Od pierwszego dnia zwycięstwa Hitlera wtrącony został do obozu koncentracyjnego. Nie pomogły protesty uczonych, pisarzy, artystów, działaczów politycznych, nie pomogło wzburzone sumienie lepszej części cywilizowanego świata, nie pomogły żadne interwencje: znakomity działacz, świetny pisarz i szlachetny człowiek, zepchnięty na dno pohańbienia, cierpiał fizycznie i moralnie za swoją szlachetność.

A teraz — nagroda pokojowa Nobla. Oto wielka ulga moralna, jaką daje przeświadczenie, że mimo wszystkie dziejące się w naszych czasach bezeceństwa teroru i niewoli myśli, istnieje przecież jakaś moralna przeciwwaga, żyją i działają siły moralne inne i dają znać o sobie w takich właśnie manifestacjach, jak nagroda pokojowa Nobla przyznana Ossietzky'emu. Dodaje to otuchy w walce o wielką naprawę świata, stanowi dowód, że nie należy z tej walki rezygnować i nie należy nie doceniać szans jej ostatecznego zwycięstwa.

„OGRANICZENIE SWOBODY PRASY"

Ludowy rząd Republiki francuskiej stara się przeprowadzić w Izbie Deputowanych nowelizację ustawy prasowej z 1881 r. w tym duchu, żeby wydawnictwa obowiązane były ujawniać źródła swoich dochodów, żeby oszczerstwa były surowiej karane, zaś wszystkie sprawy o zniesławienie w druku — sądzone w trybie przyśpieszonym.

„Warszawski Dziennik Narodowy" zaopatruje wiadomość o tej nowelizacji francuskiej ustawy prasowej w taki nagłówek: *„Ograniczenie swobody prasy"*...

ICH MYŚL PAŃSTWOWA.

Warszawski Dziennik Narodowy doniósł:

„Nadzwyczajne walne zebranie Tow. Bratnia Pomoc Stud. U. J. P. w Warszawie zwołane w sprawie pójścia prezesa na uroczystość wręczenia buławy, zostało przerwane. Zebrana młodzież ustosunkowała się negatywnie do tego kroku „radykalnych dygnitarzy" i zajęła stanowisko, że dla Polski najważniejsze jest rozwiązanie sprawy żydowskiej".

Mamy tu pierwszorzędny dokument, ilustrujący polityczną mentalność endecji: nie brać udziału w uroczystości państwowej, bojkotować dzień doniosły dla armii i jej Wodza, bo... należy tylko prześladować Żydów.

Nic lepiej nie charakteryzuje gatunku tej myśli „państwowej".

„WIEDZA"

Prof. dr. Jan Czekanowski w odczycie wygłoszonym w „Instytucie Śląskim" w Katowicach stwierdził, że rasa nordycka jest w Polsce reprezentowana znacznie liczniej, aniżeli w Niemczech. Wychodzący w Bytomiu dziennik *„Ostdeutsche Morgenpost"* w sprawozdaniu z odczytu prof. Czekanowskiego pisze: „Wiedza niemiecka będzie musiała zająć się poważnie tą polską tezą, aby móc ją jak najprędzej obalić".

Tak, tak — urzędowa „wiedza" niemiecka może wszystko „obalać", skoro stanęła na baczność przed dyktaturą. „Wiedza" niemiecka splugawiła się w pokornej służbie politycznej, a wszystkie jej „tezy" spadły do poziomu dozorców obozów koncentracyjnych. Cała dzisiejsza produkcja urzędowej „wiedzy" niemieckiej stanowi dokument największej hańby XX stulecia. A jeśli kogoś zwalcza, czyjeś tezy „obala", to już dowód, że zwalczany reprezentuje wiedzę prawdziwą.

LIST PROF. DR. MIECZYSŁAWA MICHAŁOWICZA

„Robotnik", *„Dziennik Popularny"* i *„Gazeta Polska"* zamieściły list otwarty prof. dr. Mieczysława Michałowicza. W liście tym prof. Michałowicz opisuje przebieg awantury, urządzonej podczas wykładu prof. dr. Mieczysława Wolfkego:

„Przed wykładem rzucono dymną świecę, którą woźni wyrzucili przez okno. Profesor rozpoczął wykład słowami: „Ze względu na dym na sali mógłbym zaniechać wykładu. Nie chcę jednak, by poszkodowani byli studenci, którzy pragną się uczyć, a zdaję sobie sprawę, że tylko garstka obcych awanturników zakłóca spokój; będę więc wykładał". W odpowiedzi „obce twarze" podniosły hałas. Ktoś rzucił jajko. Na to

profesor odezwał się ostro: „Wzywam tego, co to uczynił, aby się stawił przede mną. W przeciwnym razie uważam go za tchórza i gardzę nim". Na to posypał się grad jaj, uderzając poza profesorem w ekran. Słuchacze Politechniki reagowali okrzykami: „Precz z awanturami", „Precz z przeszkadzaniem w nauce". Pod wpływem tego awanturnicy opuścili audytorium. Profesor M. Wolfke wygłosił krótkie przemówienie, w którym podkreślił, że tylko ładem Polska stać może i że nie w taki sposób buduje się wielką Polskę. Studenci kilkakrotnie gorącymi oklaskami odpowiadali na słowa profesora. Profesor M. Wolfke wygłosił następnie cały wykład bez przeszkód do końca".

W dalszym ciągu listu otwartego prof. Michałowicz podaje informację o wielkich zasługach naukowych prof. Wolfkego, dodając: „Taki dystans dzieli Pana Profesora dr. M. Wolfkego od Jego tchórzliwych przeciwników, zakłócających od wielu lat spokój na wyższych uczelniach".

Zakończenie listu prof. Michałowicza brzmi:

„Na zakończenie pozwalam sobie najuprzejmiej przeprosić Jego Magnificencję Pana Rektora Politechniki Warszawskiej, że pozwoliłem sobie wystąpić w obronie Profesora wymienionej Uczelni. Uczyniłem to, jako jeden z 700 profesorów polskich w poczuciu obowiązku bronienia godności nauki polskiej".

To zdanie ostatnie możemy zrozumieć tylko w ten sposób, że Jego Magnificencja Pan Rektor Politechniki Warszawskiej sam nie raczył wystąpić w obronie Profesora wymienionej uczelni i nie podjął się obrony godności nauki polskiej.

KOMUNIKAT DLA IDIOTÓW

Rozgłośnia rebeliantów hiszpańskich w Sewilli ogłosiła komunikat, w którym powiedziano:

„W czasie walk toczonych w różnych dzielnicach Madrytu stwierdzono, że wszyscy walczący przeciwnicy oficerowie i żołnierze są uzbrojeni w broń sowiecką. Wyjątkiem jest, jeżeli napotka się ciało milicjanta. Armia narodowa — głosi komunikat — nie ma przed sobą ani wojsk madryckich, ani katalońskich, a jedynie armię sowiecką. Nie ma więc już wojny domowej w Hiszpanii, a jest walka armii hiszpańskiej z hordami azjatyckimi, które chcą narzucić Hiszpanii panowanie komunistów".

Więc już po stronie rządu republikańskiego nie walczą Hiszpanie. Nie ma w Hiszpanii wojny domowej. Setki tysięcy walczących w obronie republiki to już wyłącznie rosyjscy komuniści! Toczy się tam walka z „hordami azjatyckimi". Dużo trzeba cynizmu, żeby mówić o hordach azjatyckich, kiedy się do Hiszpanii sprowadziło hordy afrykańskie. I dużo trzeba zaufania do głupoty ludzkiej, że uwierzy w treść tego komunikatu.

W armii republikańskiej walczą również oficerowie sowieccy. To nie ulega wątpliwości. Tak samo w hiszpańskiej wojnie domowej biorą udział Włosi i Niemcy po stronie rebelii. Lecz po jednej i po drugiej stronie walczy tylko drobny odsetek cudzoziemców. Naród hiszpański podzielił się na dwa wielomilionowe odłamy, toczące straszliwą walkę o zwycięstwo krańcowo rozbieżnych idei. Komunikat sewilski jest bezprzykładnym błazeństwem.

Warszawski Dziennik Narodowy udaje, że treść tego komunikatu bierze na serio, podał go pod nagłówkiem: „To już wojna z Sowietami". Widać „W. D. N." nie obawia się sceptycyzmu swoich czytelników. Liczy na ich ignorancję najkrańcowszą. Trzeba przyznać, że się nie myli.

„KOMPROMITUJĄCE" CYTATY

W Warszawie odbył się zjazd członków dawnego „Zetu", grupy politycznej, która brała udział w ruchu niepodległościowym. Na czołowym miejscu inicjatorów zjazdu figurowało nazwisko Stanisława Bukowieckiego, jednego z najbardziej zasłużonych działaczów politycznych.

Warszawski Dziennik Narodowy atakuje z tej okazji Stanisława Bukowieckiego i chce go „skompromitować" przez cytatę z jego książki, wydanej w roku 1922-gim p. t. „Polityka Polski Niepodległej". Wielce „kompromitująca" ma być cytata, która świadczy o przeciwstawieniu się Stanisława Bukowieckiego wszelkim poczynaniom szowinizmu i wszelkiej hecy antysemickiej.

Możemy ze swej strony przyczynić się do „kompromitacji" czcigodnego działacza i pisarza, Stanisława Bukowieckiego i przytoczyć z książki wymienionej pełną cytatę, której tylko urywek podaje *Warszawski Dziennik Narodowy*. W „Polityce Polski Niepodległej" czytamy (na str. 169 i 170) te słuszne, mądre i tak dziś aktualne słowa:

„O zerwaniu zupełnym stosunków gospodarczych z żywiołem trzechmilionowym, tak gospodarczo czynnym, mowy być nie może. Znaczyłoby to wewnętrzną zajadłą i nienawistną walkę żywiołu polskiego z żydowskim na czas bardzo długi. Tak bezpardonowa, codzienna walka, pojęta jako program zasadniczy, byłaby w naszym życiu czynnikiem ujemnym niezmiernej doniosłości. Śmiesznym byłoby twierdzić, że po dziesięciu, dwudziestu, czy trzydziestu latach takiej walki, żydzi doprowadzeni do ruiny i rozpaczy, kraj opuszczą. Program takiej walki to program na całe pokolenia, które miałyby być wychowane i utrzymywane w atmosferze wstrętu i nienawiści podniesionej do znaczenia narodowego. Taki program byłby pod względem etycznym czynnikiem destrukcyjnym, burząc uczucie humanitarne, obniżałby poziom moralny społeczeństwa, a jednocześnie sprawiłby nam wielką szkodę polityczną".

Na stronicy zaś 176-tej:

„Zasady równych praw i obowiązków wszystkich obywateli bez różnicy wyznania i pochodzenia przyjęliśmy jako wytyczną w Konstytucji, którą naród polski dobrowolnie sam sobie nadał. Ścisłe przestrzeganie norm tej Konstytucji stanowi w tej dziedzinie prosty obowiązek naszej lojalności, warunek naszej praworządności".

Takie to „herezje" — ze stanowiska endeckiego — głosił Stanisław Bukowiecki i — o zgrozo! — jest im nadal wierny.

SPISEK KALUMNIATORÓW

Nieustająca od dłuższego czasu krucjata przeciwko Wincentemu Rzymowskiemu prowadzona przez wszystkie faszystowskie odłamy, sprawia wrażenie spisku, spełniającego zlecenia jakiegoś ukrytego ośrodka dyspozycyjnego.

W tym zaciekłym prześladowaniu wybitnego pisarza radykalnego bierze udział cały obóz niewiadomszczyzny, wszystkie stare i młode polityczne wygi, dmowszczyki, monarchiści, mesjaniści, redaktorzy pism jednolitego frontu faszystowskiego, miesięczników, tygodników wielkich i małych dzienników, poczynając od świętoszków Niepokalanów aż do hitlerowców polskiego autoramentu z „Prosto z mostu".

Rozsrożyła się dzika wrzawa reakcji nad głową Rzymowskiego od tej chwili, gdy jawnie wystąpił w obronie szczutego Związku Nauczycielstwa Polskiego, i może sam jako pisarz i krytyk literacki nie ściągnąłby na siebie tyle gromów i oszczerstw, gdyby nie świadomość we wrogim obozie, że on to właśnie w publicystyce jest groźnym rzecznikiem praw kilkudziesięciotysięcznej rzeszy nauczycielstwa polskiego.

Krucjata ta rozpoczęła się nazajutrz po zjeździe lwowskim, który w istocie swej był zbiorowym odczytem na tematy antyfaszystowskie. Wincenty Rzymowski, bywający gościem na wielu zjazdach w celu bezpośredniego poznawania zjawisk współczesnego życia umysłowego, stanowi w oczach spiskowców ciemnoty uosobienie rewolucyjnych i antypaństwowych knowań(!). A przecież z powołania Akademii Literatury wynikaćby powinno, że tam, gdzie chodzi o przejawy myśli i o wyrazy współczesnej duszy pol-

skiej — obecność członka Akademii mogłaby być nie dziełem przypadku i jedynie osobistej intelektualnej ciekawości, lecz raczej stanowić powinnaby urzędową reprezentację, tak samo, jak na zjazdach i kongresach naukowych reprezentowane są uniwersytety albo Akademia Nauk i Umiejętności.

Gdyby sam fakt obecności w gronie słuchaczy odczytowych udało się reakcji zakwalifikować jako rzecz antypaństwową, jako przestępstwo, cóż to byłby za triumf dla reakcyjnej tłuszczy, wyjącej o coraz większe zwężanie kręgu legalności w naszym życiu publicznym!

Drugim etapem naganki na tego wybitnego a wyklętego przez reakcję pisarza była jego książka p. t. „Prawo do życia a powinność pracy", poświęcona analizie niedoli rzesz pracujących.

Przestraszeni poczytnością książki i oddziaływaniem na umysły, próbowali początkowo ją zwalczyć, później zaś, gdy to nie pomogło — usiłowali obniżyć jej wartości i zlekceważyć.

Trzecim etapem napastniczej walki z Rzymowskim było śmieszne pomówienie go o plagiat. W książce, która jest owocem myśli samodzielnej, talentu i poważnej wiedzy, wynaleziono kilkadziesiąt wierszy podobnych do fragmentu książki Russela i na tej podstawie zakwalifikowano znakomitego pisarza do rzędu plagiatorów. Słusznie uczynił Rzymowski, że sprawę tę oddał do rozważenia Akademii Literatury, której orzeczenie — zresztą — nie może ulegać wątpliwości.

Chcianoby, oczywiście, użyć Polskiej Akademii Literatury za narzędzie reakcji przeciwko pisarzowi, tej samej Akademii, którą dotychczas cały ten obóz niewiadomszczyzny lżył i poniewierał, odmawiając jej mocy autorytetu moralnego w rzeczach literatury polskiej.

Takie spiski ciemnoty istnieją u nas od wieków, stanowiąc na poły świadomą, na poły instynktową organizację, mającą na celu wyjaławianie społeczeństwa z umysłów twórczych i krytycznych. Poły wybitnych pisarzy, twórców, artystów czepia się wciąż jeszcze czerń oszczercza, pętająca się u ich nóg lub usiłując zawalić drogę kamieniami potwarzy. Ale w końcu istotna zasługa i owoce rzetelnego trudu myśli i ducha utrwalają się na długo w blasku imienia, gdy oszczercy znikają szybko bez śladu, jak nic nie znaczące pyłki społeczne.

CHRZCZONA DEMOKRACJA I WYCHRZCZONA ENDECJA

Jak wyglądają nasi „narodowcy" w świetle ich własnych kryteriów?

Nasza endecja znajduje się od pewnego czasu w okresie organizacyjnego rozprężenia. Rozbita na parę grup, w sposób niekiedy ostentacyjny zaznaczających swą niezależność, nie traci jednak bynajmniej agresywności. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że rozbicie endecji znakomicie wzmacnia jej siły. Tylko zupełnie niezorientowany obserwator mógłby się zwieść tym pozornym paradoksem. Uważne rozejrzenie się w mozaice prasy endeckiej od oenerowskiego „ABC" począwszy poprzez wszystkie „Gońce", „Wieczory", literackie „Prosto z mostu", długi szereg pism prowincjonalnych aż do prowadzącego katechetyczny wykład ortodoksyjny wiary endeckiej „Warszawskiego Dziennika Narodowego" — potwierdzi naszą tezę.

Bo też zawarty w niej paradoks jest tylko pozorny. Endecja bowiem nie została rozbita, a rozdzieliła się sama. Owo rozdzielenie się jest to niewątpliwie jeden z najświetniejszych triumfów nieporównanych w pomysłach taktycznych starych wygów endeckich. Od lat kilkunastu endecja stoi wobec konieczności sfaszyzowania się, ściślej mówiąc shitleryzowania. Proces taki, zbyt szybki i gwałtowny i przeprowadzony w ramach starej organizacji partyjnej, mógłby nią wstrząsnąć i doprowadzić do osłabienia. Trzeba więc było poobsadzać pólka doświadczalne, na których eksperymentowaćby można przystosowywanie się do wzorów zachodnich, bez brania do czasu, odpowiedzialności za eksperyment. Te pólka doświadczalne prowadzone pod niby to nowymi firmami zapewniały cichemu wspólnikowi endecji — znaczny profit, nie doraźny zresztą, lecz obliczony na dalszą metę.

Różnica między starą endecją, a jej ablegrami polega właściwie na stopniu shitleryzowania się. Zglajchszaltowanie się „ideowe" z hitleryzmem będzie końcowym etapem, metą do której wraz ze starą endecją dojdą wszystkie jej piersią wykarmione grupy. Ponieważ, oczywiście, zdobycie pierwszeństwa w dojściu do tej mety da zwycięzcy szereg prerogatyw wewnętrzno-organizacyjnych w nanowo zjednoczonej i całkowicie shitleryzowanej endecji — przeto pośpiech jest coraz większy i zdaje się jesteśmy już świadkami końcowych momentów wyścigu. Dla uczestników wyścig to emocjonujący, to też nic dziwnego, że w tłoczeniu się do mety zdarza się, że jeden drugiego potrąci, ofuknie czy szturgnie łokciem.

Najpewniejszym koniem, który drogą najprostszą zdąża do mety, jest koń antysemityzmu. Tego rumaka dosiadają wszyscy konkurenci. Antysemityzm jest zresztą tą najpewniejszą i najsilniejszą więzią, która łącząc wszystkie grupy endeckie, stanowi zupełnie dostateczną asekurację przed wyłamaniem się ze szranków któregoś z uczestników wyścigu. Oczywiście roli tej nie spełni antysemityzm połowiczny, dąży się więc do antysemityzmu integralnego, którego ostatecznej formy szukać trzeba w objawieniu rasizmu. Taki antysemityzm jest najidealniejszą bronią — jest pałką zastępującą argument.

Wszystko z czym walczy endecja i różne jej odnóżki „narodowe" musi być oczywiście napiętnowane piętnem semityzmu i masonerii, która przecież jest „wytworem i narzędziem międzynarodowego żydostwa".

Pozwolę sobie przytoczyć tutaj dwie cytaty.

W organie Oenerowców „*ABC*" z 2 listopada b.r. (Nr. 305) znajdujemy następującą notatkę p. t. „Chrzczona demokracja".

„P. Tadeusz Gluziński w swej doskonałej książce p.t. „Odrodzenie idealizmu politycznego" na str. 31 — 32 pisze iż do ojcostwa demokracji przyznaje się cała zbiorowość lóż masońskich zaś do chrztu trzymały ją wolność, równość i braterstwo". Wstęp ten powoduje głęboką rozterkę i wąt-

pliwość w duszy czytelnika. Czy aby autor jest najzupełniej pewien, że demokracja była chrzczona? Byłaby to rewelacja".

A w staro-endeckim *„Warszawskim Dzienniku Narodowym"* w dwa tygodnie później (14 listopada b. r.) czytamy:

„Kto pamięta wojnę i konferencję pokojową, ten wie, jak żywo zajmowały się losem Polski organizacje wolnomularskie. Były one czynnikiem decydującym na konferencji pokojowej w Paryżu, cały układ politycznyEuropy powojennej był przeprowadzony zgodnie z jej wskazaniami. W układzie tym Polska odgrywała dużą rolę. Przede wszystkim dla tego, że na terytorium polskim skupia się główna masa ludu żydowskiego, a po drugie dlatego, że powołanie do życia państwa polskiego na wschodzie Europy było następstwem realizacji wspólnego programu żydostwa i masonerii — zniszczenia katolickiej Austrii i osłabienia Rosji".

A więc — zdaniem endecji — nietylko demokracja, lecz i Rzeczpospolita Polska nie jest chrzczona...

Piętnem semickim stempluje się to wszystko, co jest endecji nienawistne, co stoi na drodze jej planów, co przeciwstawia się pochodowi reakcji i otumanienia, co nie chce się poddać dyktandu kołtuństwa, zacofańsiwa i myślowego barbarzyńskiego prostactwa, odzianego w kusy płaszczyk tandetnego mistycyzmu i przystrojonego wiankiem uwitym z wyświechtanych komunałów.

Piętnem semityzmu stempluje się wszystko, co nie chce dobrowolnie i z pokorą kłaść głowy w jarzmo endecji, będącej ekspozyturą na naszym terenie wszystkich reakcyjnych prądów faszystowskich. Stempluje się wszystko i wszystkich: rzeczy, sprawy i ludzi. Nadewszystko ludzi. Oczywiście niewygodnych. Bo antysemityzm nie jest celem samym w sobie. Jest narzędziem i bronią. Nie rycerską coprawda, lecz bandycką, ale za to łatwą i skuteczną.

Można bowiem być semitą, jeśli się służy endeckiej reakcji i wówczas nikomu z powodu jego niearyjskiego pochodzenia włos z głowy nie spadnie. Można być nietylko semitą, ale nawet żydem niewychrzczonym. Przecież to nie tak wiele lat minęło, gdy Zarząd Stronnictwa Narodowego odprowadzał na cmentarz żydowski zwłoki swego członka b. p. Toeplitza, który hojnie w ciągu swego życia wspierał cele partii. Dziś, oczywiście, sytuacja niechrzczonego endeka będzie trudna. Ale przecież z punktu widzenia teorii rasizmu, z takim nakładem energii propagowanej przez naszych „narodowców", nie o chrzest chodzi, lecz o krew, o czystość rasy, o ustrzeżenie jej przed domieszką krwi semickiej, która, ich zdaniem, tak degeneruje i znieprawia ducha polskiej kultury. Nawet obcowanie z kobietą krwi semickiej wypacza i deprawuje aryjskiego mężczyznę. Pisał o tym swego czasu niejaki p. Chmurek w „Gońcu Warszawskim", a przed paroma dniami „ABC" drukowało z wyraźną aprobatą nowe obostrzone dekrety hitlerowców w tej materii.

Oczywiście, nie może to speszyć endeka. Przed kilkoma miesiącami zmarł w Warszawie zasłużony członek Stronnictwa Narodowego dr. Adam Sulima-Przyborowski, o którym we wspomnieniu „Warszawskiego Dziennika Narodowego" czytaliśmy, że stał zawsze na straży ducha polskiej kultury, że poświęcał czas swój i pracę celom „narodowym". Nie wspomniano jednak, że dr. Przyborowski mógł z takim zapałem poświęcać się Stronnictwu Narodowemu zapewne i dlatego, że ożenił się z córką bogatego kupca warszawskiego Jakuba Rozenbluma.

I zasłużonemu dziennikarzowi Adamowi Brezie, którego — długoletniego współpracownika „Gazety Warszawskiej" — zasługi dla Stronnictwa Narodowego uczcił również „Warszawski Dziennik Narodowy", nie wypomniano ożenku z panną Goldsztandówną. Jesteśmy pewni również, że nigdy żaden endek, pisząc życiorys tak dla endecji zasłużonego mecenasa Franciszka Nowodworskiego nie ośmieli się wspomnieć, że wprowadził on w krew Nowodworskich krew semicką, żeniąc się z frankistką Jasińską.

Półkrewkowi Stanisławowi Strońskiemu darowuje się z lekkim sercem i mocno semicki exterieur i żydowski dowcip i bardzo talmudyczny sposób rozumowania.

Cytujemy tu nazwiska przykładowo. Brak miejsca nie pozwala na wyczerpujące potraktowanie tego fascynującego i tak niezmiernie obszernego tematu. Chcemy tylko wykazać, jak to indygenat endecki filtruje krew semicką, pozbawiając ją wszelkich dla ducha polskiego i polskiej kultury rozkładowych miazmatów.

Sceptyczny czytelnik może zrobić nam zarzut: to są czasy przeszłe, dziś chodzi przecież nie o dawną, nazbyt tolerancyjną, starą endecję, ale o młodych narodowców: ci są przecież bezkompromisowi i w głoszonym przez siebie rasizmie szczerzy.

Nie chcemy mnożyć przykładów, ale trudno nie przypomnieć, że jednym z twórców Oeneru był przecież adwokat Janusz Rabski, syn Władysława Rabskiego zajadłego endeckiego publicysty ożenionego z czystej krwi semitką córką Aleksandra Kraushara i Jadwigi z Bersonów, że jednym z przywódców najradykalniejszego w antysemityzmie odłamu endecji adwokat Stypułkowski jest ożeniony z półkrwi semitką. Że wreszcie cytowany tu „ideolog" oeneru i jeden z głównych publicystów „ABC" Tadeusz Gluziński zna chyba dzieje swego nazwiska, które, przybrane wraz z chrztem, zastąpiło jego przodkom dawne mniej efektowne.

Gdyby rasizm endecki był szczery, to wtenczas nie wystarczyłoby jako legitymacja rasistowska noszenie nazwiska np. Bartoszewicz, ale trzebaby jeszcze dowieść, że to nazwisko nie wywodzi się od Bonawentury Bartoszewicza, neofity litewskiego w roku 1764 z herbem Nowina, tak samo jak nie wystarczałoby nazwisko Piasecki bez przekonywującego dowodu, że nie jest ono odziedziczone po Moszku Pejsaku z Podhajec, który chrzcił się wraz z innymi frankistami we Lwowie w roku 1760, ani po frankistach Piaseckich z Rohatyna i Karolówki, ani po innych tak licznych neofitach z różnych czasów przyjmujących wraz z chrztem nazwisko Piasecki.

Gdyby rasizm endecki był szczery... Właściwie z endeckiego punktu widzenia jest chyba szczery. Myślę, że tym wszystkim nieczystym aryjczykom, których legion cały służy endecji, wydaje się, że służąc fanatycznemu szowinizmowi, reakcji, ciemnocie i kołtuństwu, oczyszczają swą krew, a nadewszyst-

ko zabezpieczając się przy tym na przyszłość od konsekwencji, jakie krew semicka sprowadzić by na nich mogła w wymarzonej przez nich shitleryzowanej Polsce. Krew semicka według naszych endeków i oenerowskich rasistów dyskwalifikuje tylko przeciwników, swoim zaś nic nie szkodzi. Przeciwnie, zapewne pomaga, jeśli dopływa złotonośnym strumykiem.

Można mieć krew semicką, ale pod jednym warunkiem: zapracować sobie trzeba na indygenat zasługi endeckiej, trzeba zdobyć sobie list żelazny od domorosłego endeckiego rasizmu. Innych kryteriów niema. Nawet indygenat wypracowany zasługą dla polskiej kultury, nawet zdobyty w walce za ojczyznę tu się nie liczy.

Bo antysemityzm i rasizm endecki jest tylko bronią o „wyższe i dalsze cele" reakcji i faszyzmu w walce z demokracją i niezależną myślą. Jest pałką, którą bije się po głowie tylko tych, którzy nie poddają się dobrowolnie lub nie chcą poddać się pod terorem. Żeby zasłużyć sobie na akt przebaczenia ze strony endecji, nie trzeba być nawet rejestrowanym endekiem.

Prof. Władysława Tatarkiewicza, ostentacyjnego nieco, choć niewątpliwie szczerego w swych przekonaniach katolicko-konserwatywnych, chronić będzie przed wypomnieniem mu domieszki krwi semickiej spacer w szeregach komitetu honorowego akademickiej pielgrzymki na Jasną Górę przez ulice Częstochowy, profesora Glazera z Wilna, semitę pełnej krwi, uchroni udział we władzach Akcii Katolickiej, ale prof. Marceli Handelsman nie zdobędzie nigdy endeckiego patentu na polskość, choć go zdobył łatwo semita czy półsemita prof. Gluziński.

Endecja może być wychrzczona. Demokracji i chrzest w oczach endeków nie pomoże. Wszak „do chrztu trzymały ją wolność i braterstwo". A czyż są hasła bardziej od tych właśnie znienawidzone przez faszyzm?

A. W.

M O R D E R C Y

Jak w uprawnym polu obok szlachetnej i użytecznej rośliny krzewi się chwast nikczemny, tak w cieniu każdej zasługi ludzkiej lęże się od wielu wieków trujące, plugawe oszczerstwo.

Światem wstrząsnęła wiadomość, że faszystowska zgraja wtrąciła w otchłań rozpaczy i pchnęła do samobójstwa bojownika idei, socjalistę Rogera Salengro, ministra spraw wewnętrznych rządu ludowego Republiki francuskiej.

Wyczerpawszy odporność wewnętrzną na szczucie i szkalowanie ze strony bandytów pióra, Salengro, po tylu doświadczeniach bolesnych i cierpieniach moralnych — odszedł od życia, pozostawiwszy listy, w których wyjaśnił powody swego tragicznego czynu.

Każdy, co w tych burzliwych i przełomowych czasach zachował wrażliwość i uczucie ludzkości — zgłębić potrafi sens i grozę straszliwego zmagania się człowieka idei z przemocą faszystowskiego bestialstwa. Ocenić też zdoła ów bezmiar męki duchowej człowieka, niewinnie stawianego pod pręgierz i co dnia niemal pomawianego o zdradę.

Reakcyjna prasa z faszystowskim tygodnikiem „Gringoire" na czele nie ustawała w kampanii przeciwko socjaliście Salengro, mimo to, że wszelkie oskarżenia przeciwko niemu okazały się bezpodstawne, mimo to, że specjalna komisja pod przewodnictwem generalissimusa Gamelina stwierdziła całkowitą niewinność Salengro, jak również mimo to, że ujawniła ponad wszelką wątpliwość, zachowanie się pełne odwagi, godności i samozaparcia tego socjalisty, który jako jeniec stawiony został przed niemiecki sąd wojenny i skazany na dwa lata ciężkiego więzienia za stanowczą odmowę pracowania w fabrykach amunicji, wyrabianej na zatracenie Francji.

Kalumniatorzy ci kłamali dziś, jak kłamali wczoraj i jak kłamać będą jutro, choć wiedzą, że zaszczuli na śmierć niewinnego Salengro.

Śmierć ta jest wezwaniem, rzuconym oszczercom, którzy przez to ściągnęli na siebie jeszcze jedną hańbę zbrodni moralnej, a całemu uczciwemu światu pokazali, do jak nędznych uczynków są zdolni.

LITERATURA I POLITYKA

Z dwu pojęć, połączonych spójnikiem „a" lub „i", można stworzyć temat szkolarski, szablonowy, zarówno w założeniu jak rezultatach. W tym wypadku ewentualność ta zdaje się być wykluczona, gdyż pojęcia, zestawione w tytule, nabrzmiałe są krwią, życiem, pędem rozsadzającym ich ramy i granice. Wmyśleć się w nie, wczuć a narzuca się wrażenie, że znajdujemy się na pograniczu dwu nadmiernie żywotnych imperializmów, pragnących sięgnąć jaknajdalej i wkroczyć na teren sąsiada.

Stosunki obu „państw" układały się rozmaicie. Bywało tak, że literatura osłaniała swoimi skrzydłami politykę anemiczną, skrępowaną, niezdolną do własnego życia. Za czasów zaborów polityka skazana została na zagładę, odebrana społeczeństwu przez obcych, obłożona najcięższymi karami. I wtedy literatura podjęła się zastępczo funkcji odebranych towarzyszce.

Zjawił się na horyzoncie wielki romantyzm, emigracyjna literatura wieszczów-samotników, z których każdy pragnął zostać Archimedesem i ruszyć z posad bryłę jeśli nie świata to Polski zakutej w kajdany. W warunkach anormalnych — niewola należy do nich — organy pozbawione naturalnych swoich funkcyj zanikają, a inne obarczone nimi nad miarę muszą się rozrastać kosztem reszty. Poezja stała się tyranem, jak powiedział Wyspiański, i musiało przyjść do buntu jej poddanych.

Żeromski był następcą w duchu Mickiewicza i Słowackiego, z tej samej krwi wieszczów co Wyspiański. On jednak pierwszy, w pierwszych latach niepodległości podniósł sztandar buntu głosząc w odczycie o literaturze, hasło jej powrotu do spraw jej właściwych, do problemów jednostkowych, artystycznych. Nie wytrzymał jednak długo, nie dochował wiary swojemu nowemu hasłu. „Przedwiośnie"

było nowym, potężnym i głośnym najazdem na teren polityki, było czynem ważnym nietylko dla literatury ale i dla polityki, gdyż zawarty w nim problem centralny szukania idei dla Polski dziś równie daleki jest, jeśli nie dalszy od rozwiązania, jak za czasów Żeromskiego.

Weźmy objawy odwrotne. Polityka — oczywiście polityka oficjalna — bierze literaturę w niewolę, czyni z niej swoją służebnicę. Literatura w dzisiejszych Włoszech i Niemczech chadza w mundurze, nadsłuchuje, co w oficjalnej trawie piszczy, staje się propagandystyczna i panegiryczna. W Sowietach jest lepiej, można pozwolić sobie na ironię, uśmiech, nawet krytykę w szczegółach, byle od czasu do czasu zdjąć czapkę, przeżegnać się i pokłonić przed oficjalną dzisiaj sowiecką ikoną.

A na tym tle tak bogatym w coraz to inne materiały i doświadczenia, wysuwają nam nagle hasło apolityczności literatury i neutralności w stosunku do spraw zbiorowych, co wobec agresywności czynników politycznych równa się kapitulacji, równa się zaciągnięciu się do wiadomo jakich szeregów. Karol Irzykowski, bardzo uspokojony i pogodny po wejściu do Akademii, mówi nam o „klerkiźmie", powołuje się na Juliana Bendę, który tymczasem zaczął sam ostro politykować, i to w duchu lewicowym.

Doświadczenia zebrane na terenie spółżycia literatury i polityki nie zawsze były szczęśliwe, uczą nas jednak, że obie te gałęzie działalności ludzkiej tak dalece rozrywają ramy jednostkowego życia, próbują się przelać w obiektywne, wszechobejmujące się kształty polityczno-ustrojowej organizacji czy literackiego dzieła, wydobywającego na powierzchnię nowy świat ze wszystkim, co duszę ludzką boli i czemby być chciała, a czem w realnym życiu zostać nie mogła, że nie mogą nie przeciąć się w olbrzymiej ilości punktów, że niepodobieństwem jest przeprowadzić granicę. Chodzi więc jedynie o sumaryczne ustalenie zasad współżycia.

Literatura nie musi być polityczną, ale nie może z góry wyrzekać się polityki, inaczejby samą siebie skastrowała. Tempo realizacji obrazów literackich z życia politycznego zwiększyło się niesłychanie. Wiąże się to z rozwojem techniki, filmu i radia, z głodem informacji i faktów, odczuwanym w czasach przełomów i niepokoju. — Laureat Goncourtów, Peyre, ogłasza powieść na temat czerwonego powstania górników w Asturii, Malraux kreśli przeżycia komunisty torturowanego w hitlerowskim więzieniu. Sinclair Lewis zadaje sobie pytanie, czy faszyzm jest w Ameryce rzeczą możliwą i za punkt centralny akcji obiera wybory na prezydenta Stanów, właśnie te, które się w tych dniach odbyły.

Literatura, zajmująca się polityką, nie daje oczywiście obowiązujących recept, rozwiązań ani nie uogólnia bo to właśnie jest celem polityki, która od wypadków poszczególnych, od uczuciowych wzruszeń zmierza ku konstrukcjom ogólnym, opartym na intelekcie a realizowanym wolą. Literatura przeciwnie, pozostaje w jednostkowym, plastycznym świecie, okazuje w jaki sposób ogólny ramy polityczne wpływają na indywidualne losy i gromadzi arsenał obrazów i wzruszeń, mających w odpowiednim momencie zmienić obraz świata.

Literat, o ile chce zająć się w swojej twórczości polityką, musi się na niej znać. Jestto, zdawałoby się, komunał, jednakowoż aż nadto często nie przestrzega się go u nas. Kaden w „Bigdzie" opisuje buty Bigdy-Witosa, kołnierzyki, zęby, sposób mówienia i jedzenia jego towarzyszy i antagonistów, nie podaje nam jednak żadnych istotnych realjów, nie wyjaśnia, kto rządził, kto oponuje i na jakich się to siłach opiera. „Świństwo wszystko, panie dobrodzieju!" — tak brzmi prymitywna, niezupełnie wystarczająca konkluzja.

Na szerszym świecie ludzie inaczej traktują podobne tematy. Balzac w „Deputowanej z Arcis" kreśli obraz wyborów w małym miasteczku, ich podkład personalny, lokalny, klasowy, ogólny w sposób tak jasny i wyczerpujący, że dzieło zyskuje charakter dokumentu, mającego znaczenie i w dzisiejszych czasach. Z „Pieniądza" Zoli możnaby nauczyć się techniki operacji giełdowych i walk między potęgami finansowymi. Jules Romains w swoim cyklu o „Ludziach dobrej woli" pokazuje nam ludzi najrozmaitszych fachów, między nimi polityków, przy warsztacie pracy. Nasi bohaterowie powieściowi udają, że pracują i blagują na ten temat, natomiast francuscy, angielscy, amerykańscy pracują naprawdę. Jednym słowem, trzeba się znać na polityce, aby o niej pisać.

Literatura i polityka mogą zajmować się sobą i współdziałać, ale na zasadach równowagi, równorzędności swoich metod i celów. Literatura, uzależniona od polityki, przestaje zasługiwać na miano sztuki. Wszelki przymus musi tu działać zabójczo. W polityce możemy żądać dyscypliny, w literaturze jednakowoż może być mowa jedynie o współdziałaniu. Przenoszenie metod działania politycznego, a tym bardziej dyktatorskiego, na teren literatury musi ją zabić.

Dla Szołochowa dawny reakcyjny świat „Cichego Donu" i jego kozaków nie stracił nic ze swojego uroku. Malraux może sobie być komunistą albo nie, postacie jednak jego rewolucjonistów są nawskroś indywidualistyczne, bajronistyczne, są to w wielu wypadkach wodzowie samotnicy i sceptycy, gardzący światem. Bez pełnej wolności wewnętrznej, bez pełnego indywidualizmu twórczego, który może się realizować jedynie w warunkach wolności zewnętrznej, niema nietylko wielkich dzieł literackich ale wogóle niema literatury.

Literatura, może być pobudką, może być orężem politycznym i jest rzeczą zrozumiałą, że ze szczególną sympatią odnosimy się do literatury postępowej i lewicowej, bliskiej naszym ideałom politycznym. Ale literatura jest równocześnie najgłębszą, jedyną rozmową dusz, a więc terenem uczuciowego porozumienia poglądów i indywidualności, które na innych polach, w skrótach swoich są jaknajdalsze od siebie. Przejmuje nas głęboko głos katolickiego pisarza francuskiego Mauriaca, lecz z doktrynami jego nie mamy nic wspólnego. Uczuciowy podkład cudzej wiary dociera do głębi, z której wyrasta odmienna wiara nasza.

Na to nie ma rady. W dziedzinie sztuki musimy być liberałami, choćby się nam słowo to niepodobało, gdyż inaczej sztukę wezmą diabli. Literatura jako całość, i to nie tylko sztuka lewicowa, ale mówiąc wulgarnie, i prawicowa, reakcyjna, czy jak ją nazwiemy, jednym słowem każda sztuka prawdizwa, chcąc istnieć musi być wolna.

Włodzimierz Jampolski.

EMANCYPACJA SWOJĄ DROGĄ, A UPOŚLEDZENIE SWOJĄ

Gdy się obserwuje międzynarodowe zjazdy kobiece, poświęcone zagadnieniom emancypacji kobiet, można ulec przekonaniu, że sprawa zrównania kobiet z mężczyznami w prawach do pracy i wynagrodzenia, stoi mocno, ma piękne widoki, potężną obronę. Są przecie liczne i bogate stowarzyszenia, instytucje, zmobilizowane ku tej obronie, jest własna prasa, jest pomoc innych instytucji naukowych i społecznych. Nawet więc ostatnie sugestie faszyzmu, zwłaszcza hitleryzmu, zmierzające z wielkim tupetem ku wpędzeniu kobiety z powrotem w przestrzeń pomiędzy łóżkiem, kołyską, kuchnią a kruchtą kościelną, nie mają w świecie tej siły oddziaływania, żeby mogły powstrzymać pęd emancypacyjny kobiet.

Z drugiej strony, gdy się zna współczesne życie społeczne, stosunki rodzinne, małżeńskie, obyczajowe i rolę kobiety w utrzymywaniu rodziny, można dostrzec, że wprowadzenie kobiet do pracy zarobkowej w przemyśle, następnie — powojenne kryzysy ekonomiczno-społeczne (a zwłaszcza — ostatni, długotrwały) dokonały tak istotnych przeobrażeń w roli kobiety w małżeństwie i rodzinie, że zachodzi masowo jakby zupełne odwrócenie tradycyjnego porządku rzeczy: to kobieta coraz częściej utrzymuje dzieci, nieraz i męża; to kobieta współdziała z mężem w utrzymywaniu rodziny i bez jej pracy zarobkowej rodzina nie może się ostać. Ztąd więc wyrasta znów przypuszczenie, że społeczeństwo przecie musi dostrzegać to zjawisko, że musi doceniać, względnie zacząć właściwie oceniać i szacować podwójne, czy potrójne w stosunku do mężczyzny obarczenie kobiety w rodzinie: kobiety, rodzącej, piastującej, karmiącej dzieci, obszywającej je w domu, a nadto pracującej dla nich na chleb poza domem.

Z obydwuch tych przesłanek wynikało by, że kobieta usuwa już w życiu ten dystans, jaki dzielił jej wynagrodzenie od wynagrodzenia równoważnej, podobnej lub identycznej pracy męskiej. Zdawałoby się, że przecie ruch emancypacyjny kobiecy musi w końcu współdziałać z podnoszeniem zapłaty za pracę kobiecą.

Przed kilkoma laty, opracowując dla Instytutu Gospodarstwa Społecznego problem pracy kobiet w przemyśle, zestawiłam w swej książce płace kobiece i męskie w Polsce i w świecie, cofając się o kilkadziesiąt lat; wykazałam tam, że w ciągu ostatniego czterdziestolecia — okresu rozkwitu emancypacji kobiet — dystans pomiędzy płacą kobiecą a męską pozostał ten sam: płace kobiece pozostały niższe od męskich naogół o 40% do 60%. Dziś, dla celów Międzynarodowego Biura Pracy, które przygotowuje opracowanie problemu płac i stosunku tych płac do obowiązków rodzinnych kobiet w świecie współczesnym, zgromadziłam sporo szczegółowch danych, z pomocą koleżanek i kolegów z inspekcji pracy. Dane te pozwalają na rzut oka w tej dziedzinie i wykazują właśnie że emancypacja swoją, a upośledzenie kobiet postępuje dalej swoją drogą.

Przytoczę tu tylko kilka jaskrawych przykładów tego upośledzenia,. Ponieważ zaś jasny pogląd na tę sprawę nierzadko bywa zaciemniany przez twierdzenie, jakoby płaca kobiety była niższą dzięki wykonywaniu przez nią innej, podrzędniejszej, prostszej i t. p. czynności, zacytuję tu przykłady płac przy czynnościach bardzo zbliżonych, lub identycznych.

Kobiety — biuralistki w biurach przemysłowych, przy fabrykach lub koncernach, przy identycznych czynnościach otrzymują zapłatę niższą o 40 do 50% od męskiej. Mam przed oczami wykazy płac z wielu biur przyfabrycznych w województwie łódzkim, kieleckim, śląskim, białostockim. Gdy mężczyźni-biuraliści otrzymują po 250 lub 200 zł. miesięcznie, to kobiety-biuralistki przy identycznych czynnościach i w tym samym biurze — 150 i 100. Tak więc pomocnik buchaltera pobiera np. 250, pomocnica przy równym wkształceniu — 200 zł. Korespondent — 300 (języki obce). korespondentka (te same języki) —225. Gdy zaś udaje się pozyskać korespondenta za 250 zł., to korespondentce w takim biurze płaci się już 175. Dane z handlu wykazują ten sam obraz. Jeżeli mężczyzna przy sprzedaży i ekspedycji konfekcji w składzie konfekcji pobiera 200 zł., to ekspedientce płaci się 140; gdy młodszy ekspedient ma 120 zł., ekspedientka tej kategorii ma już tylko 80.

A teraz robotnice. Weźmy przemysł włókienniczy, pyszniący się zasadą „za tę samą pracę — ta sama płaca". Zobaczymy, jak wygląda w życiu ta piękna zasada. Przede wszystkim już w samej taryfie najwyższa płaca akordowa, przewidziana dla mężczyzny, jest znacznie większa od takiej samej przewidzianej dla kobiety (przy czynnościach, któż założenia powinny były być wykonywane w pierwszym wypadku przez mężczyzn, w drugim przez kobiety); dziś, w życiu, kobieta bardzo często wykonuje właśnie te prace, które zasadniczo były przewidziane dla mężczyzn (więc najwyższa płaca akordowa mężczyzny w taryfie) obowiązującej zasadniczo od r. 1919 wynosi 9 zł. 46 gr., kobiety — 7 zł. 58 gr. — System płac akordowych gwarantuje robotnikom jedynie przeciętną stawkę, wyprowadzoną z podziału sumy, zarobionej przez robotników w danym okresie przez ilość robotniko-dni. Wewnętrznie firmy wyznaczają jednostki płacy (np za 1 kg. przędzy, za 1 metr tkaniny, od 1000 wątków) w takim obliczeniu, żeby przeciętna stawka akordowa zgadzała się z akordową stawką taryfową. Jednak skąpe, niedociągnięte wyznaczanie tej jednostki płacy powoduje owe tak rozpowszechnione „niewyrabianie stawki", zwłaszcza rozpowszechnione w fabrykach o masowych skupieniach kobiet, bardziej ustępliwych i ugodowych (do czasu). To więc sprawia, że powstaje różnica in minus pomiędzy płacami kobiet i mężczyzn przy tych samych już czynnościach. Dalszą różnicę stwarza podnoszenie normy obsługi maszyn, udające się lepiej i łacniej również wśród kobiet, które ze względu na swoją strukturę psychiczno-nerwową

oraz na rodzinne obowiązki bywają lepszymi „holowniczkami" wydajności pracy, niż mężczyźni. Ztąd wynika, że w przemyśle włókienniczym, jakkolwiek pozornie obowiązuje zasada jednakowej płacy, w rzeczywistości wygląda to tak: w tkalni wyrobów wełnianych snowacz na gładkiej 2-kolorowej osnowie ma dniówkę — 6.69 zł, snowaczka przy tej samej robocie i materiale — 5,82 zł., w akordzie mężczyzna ma w tym wypadku 8,03 zł., kobieta — 6,98. Podobnie na wielokolorowej osnowie snowacz ma w dniówce 7,57 zł., w akordzie — 9,08, snowaczka zaś — 6,32 i7,58.

W województwie krakowskim w jednej z faryk papieru kobietom płacą dokładnie *połowę* płacy męskiej za identyczną czynność i sumę pracy. Bardzo łatwo się o tym przekonać, gdyż wynagrodzenie jest tu obliczane od sztuki. I tak np.: za robienie rurek maszynowych mężczyzna od 1000 sztuk otrzymuje 0,30 groszy, kobieta — 0,15. Za deseniowanie, mężczyzna ma 0,60 groszy za godzinę, kobieta — 0,31. Za zrobienie 100 torebek pewnej wielkości mężczyźnie płacą 10,40 zł., kobiecie — 5,20 i t. p.

W województwie pomorskim w niektórych drukarniach można napotkać, wbrew zakazowi prawa, zecerki (polskie ustawodwstwo zakazuje tej pracy, jako szczególnie szkodliwej dla kobiet). Cóż dziwnego, że pracodawcy upolowują sobie te kobiety, gdyż płacić im mogą 20 zł. tygodniowo, nawet 15, podczas gdy zecer już w pierwszym roku po wyszkoleniu nie bierze mniej niż 35 zł.

W metalowych fabrykach zachodnich województw podług taryf płac robotnik przyuczony (chłopak 20 lat) ma stawkę 69 groszy, podczas gdy kobieta przyuczona tylko 49; tak było przed kilkoma laty, dziś efektywne zarobki zapewne są jeszcze niższe. W wielkich fabrykach metalowych kobiety mają stawki około 45% stawki mężczyzn. Naturalnie to jest przyczyna, dla której tak się rozrasta praca kobiet w przemyśle metalowym.

Już takie powierzchowne rozejrzenie się w dziedzinie płac kobiecych, prócz możności stwierdzenia, że emancypacja swoją a upośledzenie idzie swoją drogą — rzuca światło na obłudę i kłamliwość modnych dziś hitlerowskich haseł „powrotu kobiety do domu". To właśnie niemiecki przemysł metalowy już dawno i dziś tak samo masowo zatrudnia kobiety, dobrze kalkulując sobie ich tańszą, a równie wydajną pracę.

Halina Krahelska.

SYTUACJA DOCENTÓW W UNIWERSYTETACH

Sytuacja docentów w uniwersytetach jest pod względem prawnym dość szczególna. Ktokolwiek miał okazję tłumaczyć, co to jest docent, osobom stojącym poza uniwersytetem, albo osobom, należącym do tych uniwersytetów zagranicznych, które w swojej organizacji takiego stanowiska nie przewidują, ten wie, jak trudno jest wyjaśnić, o co tu właściwie idzie.

Naogół mniema się, że stanowisko docenta przy uniwersytecie to stanowisko płatne, znajdujące się w hierarchi uniwersyteckiej gdzieś pomiędzy starszą asystenturą a profesurą nadzwyczajną, jako szczebel jednej i tej samej drabiny. To potoczne mniemanie nie odpowiada, jak wiadomo, rzeczywistości. Docent nie ma w uniwersytecie żadnej płatnej „posady". Nie jest urzędnikiem. Nie przysługuje mu prawo do legitymacji urzędnika państwowego, z której korzysta etatowy asystent i profesor. A więc to tylko tytuł! — powiedzą nam ci, którym się zdaje, że już zrozumieli. I ta jednak interpretacja nie jest interpretacją właściwą. Docentura to nietylko tytuł. Habilitacja daje docentowi prawo wykładania, na to zaś, by tego prawa nie utracić docent musi wykładać pewną ilość godzin rocznie, nie otrzymując za to wynagrodzenia, chyba że jego władze zechcą uznać wykład za t. zw. wykład zlecony. A więc i nie posada i nietylko tytuł.

Sprawa się jeszcze bardziej komplikuje, jeżeli bliżej wejrzeć w udział docenta w organizacji akademickiej. Głosowanie profesorów nad osobistymi kwalifikacjami każdego kandydata na docenta, należące do procedury habilitacyjnej, zdaje się akcentować — przez analogię do głosowania, odbywanego przy dopuszczaniu kogoś do jakiegoś zamkniętego stowarzyszenia — że docent jest osobą dopuszczoną do zrzeszenia wykładających. Ten fakt zostaje także podkreślony przez zwyczaj składania wizyt wszystkim członkom wydziału przez świeżo upieczonego docenta oraz odbieranie ich rewizyt. Mimo tych pozorów przyjęcia docenta do grona nauczycielskiego, docent pozostaje w organizacji akademickiej osobą marginesową. Wszystkie uchwały, regulujące bieg życia akademickiego, dzieją się poza nim. Dwóch docentów zasiada wprawdzie w radzie każdego wydziału, ale, choć wybrani przez ogół docentów, w czasie obrad przemawiać mogą tylko we własnem imieniu.

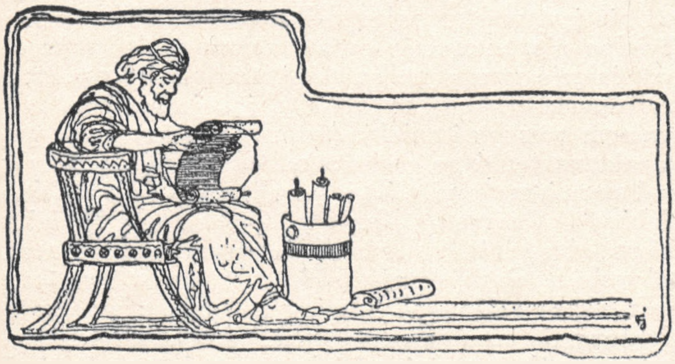
Przypuśćmy teraz, że władze uniwersyteckie idą po linii, niezgodnej z opinią jakiegoś docenta w sprawie szczególnej doniosłości, w sprawie, w której człowiek wyrobiony obywatelsko nie może się zgodzić na bierne milczenie, tembardziej, że to milczenie może być poczytane za aprobatę. Co ma robić docent w takiej sytuacji, jeżeli nie należy do owych dwóch wybranych? Profesor może się przynajmniej wypowiadać na radach wydziałowych. Tam może zgłaszać akcesy, proponować vota nieufności, izolować się w swojej opinii przez vota separata. Docent nie ma żadnej podobnej możliwości. Docent nie może się nawet dowiedzieć, jak profesorowie reagują na radzie wydziałowej w sprawie, która go obchodzi — chyba że skorzysta z czyjejś niedyskrecji Gdzież ma się wypowiedzieć, tak, by go ludzie słyszeli? Ma przecież prasę, powiedzą nam. Tak by się zdawało. Tymczasem...

Dn. 29 października dr. A. Rajchman, docent Uniwersytetu J. P. i profesor Wolnej Wszechnicy, w artykule drukowanym w „Dzienniku Popularnym" przypisał władzom uniwersytetów i politechnik uprawianie w stosunku do ekscesów anti-żydowskich pewnej polityki i wypowiedział się w stosunku do tej polityki negatywnie. Nie upłynęło wiele czasu, a czytaliśmy w prasie, że jego wykłady zostały naskutek tego artykułu zawieszone i że senat wytacza mu dochodzenie dyscyplinarne. Wiadomości tej władze akademickie nie zaprzeczyły.

Ten fakt godzien jest poważnego zastanowienia, należy go bowiem traktować jako niepokojący precedens. Jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby kto-

remuś z nas nie zdarzyło się w czasie jego docenckiego żywota znaleźć się w opozycji w stosunku do jakichś uchwał czy metod władz akademickich. Mówiliśmy, że docent nie ma innej drogi, by dać publiczny wyraz swoim przekonaniom, jak tylko odwołanie się do prasy. Ale ta droga, w świetle losów p. Rajchmana, okazuje się cierniowa. Zawieszenie wykładów, dochodzenie dyscyplinarne — to nie są przecież rzeczy, z którymi możnaby było się nie liczyć. Czy poza domem prywatnym i kawiarnią nie wolno nam się nigdzie krytycznie w stosunku do władz akademickich wypowiedzieć? Czy nasze wątłe uniwersyteckie uprawnienia miałyby się wiązać z tak poważnymi w stosunku do władz akademickich zobowiązaniami? Czyżbyśmy za prawo wykładu mieli płacić utratą wolności słowa?

Maria Ossowska.



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

CHŁOPI Z GRZMIĄCEJ

W Zespole Literackim „Przedmieście", pod którego auspicjami wydał Kowalski swoją książkę *), dużo pisze się i mówi o metodach obserwacji artystycznej. Podstawowym założeniem jest tam celowość obserwacji, świadomość artysty, że obserwuje w celu, który sobie postawił już z góry, przed „wejściem w teren". Wynika stąd konieczność planowego, nieomal architektonicznego konstruowania powieści, noweli czy reportażu.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że można napisać świetną powieść, pominąwszy zupełnie wszystkie te założenia. Właśnie „W Grzmiącej" Władysława Kowalskiego jest całkowitem zaprzeczeniem metod „Przedmieścia".

Nie może tu być mowy o „wejściu w teren". Autor wyrósł z „terenu", który opisuje i tkwi jeszcze w nim korzeniami.

Niema dystansu pomiędzy Kowalskim a masą chłopską, która jest bohaterem jego powieści. Dzięki temu powieść jest wyzwolona od tak zwanych „momentów dydaktycznych". Autor nie poucza czytelnika. Sentencje, które każe wypowiadać chłopom z Grzmiącej dotyczą bezustannej, podjazdowej walki z dworem, strażnikiem i zbrojnym najeźdźcą (rzecz dzieje się w okresie wojny światowej) rekwirującym ostatnią świnię, ostatni zapas przeznaczonego na siew ziarna.

Rzeczą czytelnika jest powiązać te sentencje z wartkim nurtem spraw, pulsujących niejako pod powierzchnią życia chłopów, spraw, które są motorem zdarzeń w Grzmiącej i na całym świecie.

Konstrukcja powieści Kowalskiego nie sprawia wrażenia czegoś planowego, ustalonego już przed przystąpieniem do pisania. Można raczej sądzić, że została autorowi narzucona przez samą bezpośredniość wizji artystycznej. Pozorny bezład powieści, pozornie bezplanowe nagromadzenie zdarzeń i anegdot jest w istocie doskonałym, choć, sądzę, intuicyjnym chwytem kompozycyjnym.

Bo przecież tak właśnie bezładnie i bezplanowo toczy się w Grzmiącej życie. Zbiorowisko trosk, nadziei i rozczarowań, wikła i tak już powikłane sprawy, utrudnia i tak już ciężką walkę o byt.

W tej atmosferze nieznośnych powikłań, tworzy się i utrwala nieufny, wrogi stosunek do inteligenta, do „panka". Bo też, czy będzie to sentymentalny profesor goszczący we dworze, czy urzędnik z nakazem płatniczym, czy ksiądz modlący się, zależnie od sytuacji politycznej, za pomyślność tego lub owego ciemięzcy, „panek" zostaje zawsze elementem obcym, usiłującym chłopa okpić i wykpić, lub wykorzystać go dla jakichś swoich ciemnych i wrogich interesów.

W świetle powieści Kowalskiego, rozwiewa się legenda o jakimś mistycznym przywiązaniu chłopa do ziemi i do krowy. Przywiązanie to istnieje rzeczywiście, ale w postaci materialnych więzów, które sprawiają, że chłop nie może się oderwać od swojej znienawidzonej rzeczywistości, choćby, jak Kubas, wyrywał się do miasta i z opuszczeniem swojego jałowego kawałka gruntu i chudej krowiny, łączył najlepsze nadzieje.

„W Grzmiącej" Kowalskiego to piękna, niepowszednia książka.

Bolesław Piach.

ZE WSPOMNIEŃ INSPEKTORA PRACY

Sygnalizujemy narazie ukazanie się niezwykle cennego wydawnictwa: to dwa wielkie tomy, zawierające prace H. Krahelskiej, M. Kirstowej i St. Wolskiego *). Zanim treść tego dzieła omówimy szczegółowo, chcemy zwrócić tylko uwagę, że jest to w naszej literaturze społecznej pierwszorzędnej doniosłości zbiór dokumentów, rzucających snop światła na dzieje walki o realizację naszego ustawodawstwa socjalnego. Dzieje zaś tej walki wskazują, jak niezmiernie trudną była i jest obrona elementarnych praw klasy robotniczej. Wysiłki nieraz bohaterskie— pierwszych inspektorów pracy w Polsce niepodległej — szły na marne wobec oporu nietylko wielu przedsiębiorców, ale i przedstawicieli władz państwowych. A chodziło przecież o podstawowe zasady ochrony pracy i zdrowia robotnika, o obronę przed zgoła nieludzkim wyzyskiem, o wywalczenie praw klasy robotniczej, zgodnych z obowiązującą już ustawą.

W tomie pierwszym znajdujemy „Rzut oka na stosunki społeczne w zaraniu państwowości polskiej", zarys powstania i organizacji inspekcji pracy, obraz zatargów zbiorowych i rozjemstwa, charakterystykę stosunku sądów do ustawodawstwa socjalnego, opis przebiegu wizytacji w fabrykach i walki

*) *Władysław Kowalski:* W Grzmiącej. Wydawnictwo M. Fruchtmana. Warszawa 1936.

*) *H. Krahelska, M. Kirstowa, St. Wolski:* Ze wspomnień inspektora pracy. 2 tomy. Wydawnictwo M. Fruchtmana, Warszawa 1936.

o ochronę pracy najmłodszych. W tomie drugim, wypełnionym pracami H. Krahelskiej — arcyciekawe dokumenty z wizytacyj fabryk, badania nad zagadnieniem wysiłku przy pracy, relacja z podróży rockfellerowskiej i t. d.

Całość daje nad wyraz plastycznie sporządzony obraz nieustającej, pełnej trudu walki o polepszenie doli klasy robotniczej w Polsce niepodległej. Jest to dzieło prawdziwych przyjaciół i obrońców tej klasy.

O TYCH, KTÓRZY WRACAJĄ

W nawale spraw ważnych, zasadniczych, spraw, które przeniknęły niejako do świadomości społecznej, niezwykle skromne, prawie bagatelne miejsce zajmuje doniosłe zagadnienie naszej reemigracji. Ukazanie się więc książki p. Marji Niemyskiej p. t. „Wychodźcy po powrocie do Kraju" (nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego) powitać należy z zadowoleniem.

Program reemigracji nie został dotychczas poddany badawczym metodom, ba — nawet nie został należycie uwypuklony w cyfrach.

Autorka rozpatruje ruch reemigracyjny w latach 1930—1934, badania zaś swe opiera głównie na danych statystycznych, dotyczących województwa białostockiego, który to okręg wykazywał największą liczbę osób emigrujących zagranicę. Zaledwie 10,7% z pośród badanych wywodzi się z innych województw. Metody badania to: listy ankietowe, osobiste wywiady i rozmowy. Element powrotny rekrutuje się głównie z dwóch terenów: Stanów Zjednoczonych A. P. i Francji. Dla uwypuklenia całej anomalii nieprzywiązywania w Polsce zbytniej wagi do zagadnienia reemigracji, podam cyfry z lat 1930—1934, dotyczące naszej emigracji i reemigracji. Otóż w tymże okresie emigracja liczyła 384 tysiące osób, reemigracja zaś 280 tysięcy. Emigrację objęto pewną opieką, — zapomniano jednak zupełnie o Polakach, którzy powrócili i wracają do kraju. Nie dano tej powrotnej fali, niewątpliwie w dużej części wartościowego elementu, wytycznych postępowania, nie ułatwiono jej twórczego wniknięcia w życie polskie na poszczególnych odcinkach pracy.

Jako jeden z fragmentów tego zaniedbania przytoczę bardzo charakterystyczny moment. Często reemigranci przed powrotem do kraju zapytują odpowiednie instytucje w Polsce, gdzie mogą zasięgnąć opinii o kupnie ziemi, gospodarstwa, domu etc. O ile mi wiadomo, takiej instytucji, którąby się między innymi trudniła informowaniem reemigrantów o warunkach życia w Polsce — nie ma. A szkoda! Sam znam wiele przykładów takich, w których reemigrant nie mając możności znalezienia odpowiedniej informacji jak i gdzie lokować swój kapitał w Polsce, kołacze tu i tam, nie wie co zrobić z ciężko zapracowanym groszem — trwa w niezdecydowaniu i rozgoryczeniu. Nie jest to przykład typowy, bo takich Polaków, pragnących reemigrować do Polski z większą gotówką jest stosunkowo mało (brak dokładnej statystyki), mimo to jednak charakterystyczny i dający wiele wątku myślowego do wysnuwania nie wesołych wniosków.....

Zasadnicza przyczyna reemigracji to kryzys srożący się wśród państw imigracyjnych, w których stosuje się radykalny system: wydalanie obcokrajowców.

Drugą przyczyną wzrostu nasilenia ruchu reemigracyjnego do Polski, przyczyną słabszą, jeśli uwzględnić liczbę reemigrantów z tego powodu wracających do kraju, jest tęsknota za Ojczyzną. Nostalgia, tak znamienna w psychice naszego emigranta, wywodzącego się przeważnie ze wsi, nostalgia, która skłaniała kiedyś całe rzesze naszych rodaków do powrotu do Polski, do opuszczania nowych, często lepszych warsztatów pracy, została zredukowana, przygnieciona świadomością, że w Polsce warunki pracy i możliwości zarobkowe nie są zbyt pociągające, że szalejący na całym świecie kryzys i w naszym kraju poczynił znaczne spustoszenia.

Wspomniałem wyżej, że reemigracja nie znalazła w Polsce rozwiązania i traktuje się ją dość przypadkowo od jednego pociągu repatrianckiego do drugiego. Udział czynnika społecznego w tej akcji współdziałania w niesieniu pomocy reemigrantom też nie jest wystarczający. Skromne możliwości materialne nie pozwalają organizacjom społecznym na rozwinięcie pracy na szerszej platformie, na scentralizowaniu akcji, na objęciu jej jednolitym programem pomocy i opieki. Autorka w swej pracy wymienia następujące instytucje, trudniące się opieką nad reemigrantami: „Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet", „Czerwony Krzyż", „Opieka nad Rodakami na Obczyźnie", „Domy Opiekuńcze", na poszczególnych stacjach granicznych. Ostatnio Światowy Związek Polaków z Zagranicy wykazał pewne zainteresowanie sprawą reemigracji. Podjął wraz z szeregiem osób z pośród działaczy społecznych akcję zorganizowania w Warszawie bursy dla najbiedniejszych dzieci reemigrantów. Przykład ten, o ile znajdzie swe realne urzeczywistnienie winien stać się impulsem do tego rodzaju akcji i w innych miastach polskich.

Wszystkie te wysiłki nie mogą w całości zadowolić potrzeb, związanych z ruchem reemigracyjnym do Polski. Sprawa reemigracji domaga się szerszego uwzględnienia w całokształcie programu naszej polityki państwowej.

Władysław Oszelda.

S Z C Z Ę Ś C I E

W tę noc rozsiekaną na kawałki przejmującym deszczem, trzeba wejść odważnie i energicznie. Trzeba chłostać się nieustającą świadomością, że przecież nie ma gdzie pójść, niema gdzie się schronić. Dostępna jest tylko ta noc niby—letnia, a przecież zimna i dokuczliwa. Jeszcze tylko otulić rozmokły kołnierzyk „tej" zielonej sportowej koszuli, kołnierzem marynarki równie mokrym i wystrzępionym. Tę koszulę i tę marynarkę kupiło się niecały rok temu, koszula była wtedy nowa, a marynarka „prawie jak nowa", jak zapewniał na Kercelaku jej poprzedni właściciel.

Niecały rok temu! Wtedy jeszcze się kupowało. Trzeba było po te — tam zakupy „wyskoczyć" z domu wczesnym rankiem, jeszcze przed siódmą, a po tym niosło się w ręku pakuneczek zawinięty w starą gazetę, niosło się w sobie ten pośpiech, ten niepokój, żeby nie spóźnić się do roboty, do pracy. Czy to możliwe, żeby to był jeden i ten sam człowiek, tamten spieszący się i niepokojący, i ten owinięty mokrą ciemnością niedobrej, bezdomnej nocy, któremu już wszystko zobojętniało, że nie chce mu się nawet schronić przed deszczem do bramy. Bo i poco? Poco? Nie o deszcz teraz mu przecież chodzi, nie to go gnębi. On chce spać! Całe ciało chylące się ku ziemi ruchem nieopisanego znużenia, pożąda małego skrawka legowiska, na którym możnaby się było ułożyć i zasnąć, zasnąć — za wszelką cenę!

Tak sobie właśnie pomyślał — za wszelką cenę, przecież właśnie o to chodzi. Czy nie powiedział wczoraj stary Wargiel, że już dłużej nie będzie go na kredyt wpuszczał pod szopę? A może jednak wpuści? Może jeszcze ten jeden ostatni raz pozwoli się przespać? Trzebaby pójść, poprosić... Czyż nie jest wszystko jedno zbolałym stopom, w którą stronę zgarniają wodę i błoto z warszawskiego chodnika?

Więc dobrze, dobrze! Pójdzie i powie Wargielowi, żeby jeszcze pozwolił ten ostatni najostatniejszy raz, że odda, wszystko odda co do grosza jak tylko dostanie robotę. Stara się przecież... Wargiel sam wie najlepiej, że się o tę robotę stara. Może jednak pozwoli. Trzeba tam pójść. To nawet wcale niedaleko. Tylko dojść do mostu a potem na prawo bulwarkiem nadwiślańskim, na którym ciężkie, grube krople letniej ulewy wybijają nieustanny werbel. O! Tu, za tym parkanem.

Mokre palce zaciskają się dokoła oślizgłego od wilgoci sznura dzwonka, ale nie pociągają — wahają się. Czy warto? Przecież Wargiel zeklnie od ostatnich i wyrzuci, przecież już mu się należy złoty i pięć groszy, przecież wczoraj powiedział, że u niego nie przytułek.

No to co? No to co z tego? Zadzwoni mocno, energicznie, a po tym powie Wargielowi tak-a-tak: Że już mu obiecali na jutro... że ma się zgłosić... że przecież odda co do grosza... że on nie taki znowu, żeby miał komu głupią złotówkę skręcić.

To energiczne pociągnięcie dzwonka wcale się nie udało. Czy Wargiel usłyszy takie ciche bojaźliwe dzwonienie? Usłyszał. Ciężkie buty chlapią po okrytym błotem placu. Słychać jak pies Bryl ciągnie żelazne kółko po drucie i wyje cicho.

Oh! Jak trudno wydusić z gardła to wyszeptane zdanie, które miało być powiedziane głośno, pewnie, ze swobodą.

— Wargiel! Otwórzcie, to ja...

— Co za ja?

— No ja... przecież... nie poznajecie? Furtka uchyla się nieco.

— Ty? znowuś przylazł? mówiłem ci przecież...

— Jeszcze ten raz pozwólcie Wargiel... mnie obiecali... ja wam do grosza wszystko oddam.

— Gadaj zdrów! Niby to ja nie wiem... Jakeś już przylazł na taki deszcz to właź, ale pamietaj, że jak jeszcze raz tu się zjawisz to psa spuszczę z łańcucha. Słyszysz!!

Szczęście! To jest właśnie szczęście iść tak za starym Wargielem, słuchać jego nieprzyjaznego mruczenia, a po tym wślizgnąć się do szopy, wcisnąć się do szopy, wcisnąć się na kupę słomy między jakieś dwa rozgrzane snem ciała, a po tym zamknąć oczy i zasnąć, czując, że się zasypia.

Bolesław Piach.

GWAŁCENIE PRAWA AZYLU

Z biuletynu Międzynarodowego Komitetu do spraw azylu dowiadujemy się następujących rzeczy.

We wrześniu r. 1935 uciekł do Czechosłowacji młody Niemiec, mieszkający w Gliwicach na Śląsku i prześladowany przez niemieckie władze z powodu stosunków z Niemką; był to Niemiec pochodzenia żydowskiego, nazwiskiem Fryderyk Badrian. Badrian zameldował się w komisariacie policji w Maerisch-Ostrau i poprosił o pozwolenie na pobyt. W ciągu roku młody człowiek przebywał spokojnie w Czechach. We wrześniu r. 1936 został nagle aresztowany i w tym samym dniu wydany niemieckim władzom na pogranicznej stacji Bogumin. W dwa dni później rodzina jego w Gliwicach otrzymała od Gestapo powiadomienie, że syn ich powiesił się w celi. Gdy członkowie tej rodziny zebrali się w więzieniu dla rozpoznania ciała, ujrzeli ze zgrozą, że twarz zmarłego przedstawia wielką, krwawą miazgę.

Podług informacyj biuletynu, wydania Badriana władzom niemieckim dokonał komisarz policji, sympatyzujący z faszystowskim ugrupowaniem w Czechach. Trzeba nadmienić, że Czechosłowacja nie przyłączyła się dotąd do konwencji genewskiej z dn. 4.VII. 1936 r. Okropny wypadek, tu przytoczony, raz jeszcze potwierdza ten pewnik, że dopóki t. zw. prawo azylu będzie pozostawało pod opieką jedynie władz administracyjnych w różnych państwach, emigranci niemieccy nie mogą liczyć na istotną opiekę i ochronę.

New Chronicle zamieszcza wiadomość o uwięzieniu w Niemczech Olgi Benario-Prestes i Elizy Ewert, wdowy po byłym prezydencie Niemiec, socjal-demokracie. Kobiety te mieszkały w Brazylii; na jesieni r. b. uwięziono je tam, załadowano pospiesznie na statek „La Coruna" i odstawiono do Rzeszy. Poddano je w Rzeszy badaniom, po czym odstawio-

no do więzienia. O dalszym losie tych kobiet nic nie wiadomo. Władze Rzeszy zachowują w tej sprawie milczenie. Natomiast zewsząd napływają do władz niemieckich zapytania, reklamacje; do instytucyj międzynarodowych — uchwały i wyrazy protestu. Jest bowiem ta sprawa szczególnie oburzającą przez to jeszcze, że Olga Benario-Prestes tuż przed deportacją urodziła dziecko, zabrano ją od parodniowego niemowlęcia i matka nie wie dziś nic o dziecku. We Francji wybitne osobistości jak to Henryk Berenger, były ambasador w Stanach Zjednoczonych, Lisbonne, b. minister, Paweł Perrin, przewodniczący Federacji oficerów rezerwy republikanów, Marek Sangnier, przewodniczący Związków Młodzieży Chrześcijańskiej Socjalistycznej, zwróciły się do Kanclerza Hitlera z następującej treści depeszą: „Wstrząśnięci głęboko wiadomością o deportowaniu przez Rząd Brazylijski — sprzecznie z prawami międzynarodowymi — pań Benario-Prestes i Ewert, wyrażamy nadzieję że Rząd Rzeszy zgodzi się zwrócić panią Prestes jej dziecku, panią Ewert jej rodzinie i odeśle obie kobiety na granicę francuską".

W odezwie Międzynorodowej Ligi Matek Wychowawczyń, skupiającej w Paryżu 90 tysięcy kobiet, adresowanej do ambasadora Rzeszy we Francji, czytamy: „Prośba nasza jest nagła i bolesna ze względu na panią Benario-Prestes, która na parę dni przed deportacją powiła dziecko i została natychmiast od niego odłączona. Wchodzą tu więc w grę nie tylko prawa międzynarodowe i ludzkie; jest prawo naturalne, najświętsze, prawo matki, wydającej na świat dziecko, do dziecka, — prawo dziecka do matki. My matki, wśród których wiele okrutnie doświadczyła ostatnia wojna, jesteśmy boleśnie wstrząśnięte torturą, zadaną sercu tamtej matki"... I dalej — „Jesteśmy przekonane, że w Niemczech nie ma ani jednej matki, która nie zechciałaby się przyłączyć do naszej prośby, gdyby o niej wiedziała..." ...Chodzi tylko o to małe „gdyby"...

Antonini Armando, emigrant włoski po kilkakrotnym więzieniu we Włoszech, ucieczce i pobycie w Czechosłowacji, wyjechał z Pragi do Paryża i został aresztowany w drodze przez Niemcy, w pociągu pośpiesznym Praga — Paryż. Władze niemieckie najprawdopodobniej prześlą go władzom włoskim. Współdziałanie państw faszystowskich pod tym jak i innymi względami jest doskonale zorganizowane i stałe. W ostatnich czasach Portugalia masowo deportowała uciekinierów hiszpańskich z terenów zajmowanych przez generałów - rebeliantów. Jednak w krajach demokratycznych jak Czecho-Słowacja, usus ten rozpowszechnił się w ostatnich dopiero miesiącach. Dowiadujemy się, że w związku z tym delegacja licznych organizacyj społecznych i humanitarnych odwiedziła czeskiego ministra spraw zagranicznych, protestując przeciw odmawianiu prawa azylu emigrantom politycznym oraz przeciw wydawaniu ich władzom państw, z których musieli emigrować.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

POLSKI RYNEK CZYTELNICZY

W miesięczniku *Prasa* (organ Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism) znajdujemy interesujące dane o polskim rynku czytelniczym.

„Polska liczy 33,8 mil. ludności. Z tej liczby nie wszyscy, oczywista, mogą stać się czytelnikami. Przede wszystkim należy wprowadzić kryterium wieku. Odrazu nasuwają się pierwsze trudności — w którym roku życia rozpoczyna się normalne czytelnictwo pism? Z doświadczeń wiadomo, iż istnieje różnica między czytelnictwem czasopism i dzienników. Czytanie czasopism rozpoczyna się wcześniej; pierwszymi czytanymi pismami są niemal z reguły czasopisma dziecinne, dla młodzieży i periodyki ilustrowane. Rozważania nin. głównie dotyczyć będą czytelnictwa dzienników. Dlatego też i teraz uwzględnimy chwilę rozpoczęcia normalnej lektury dzienników. Otóż, jeśli pominąć te egzemplarze dzienników, które dorywczo, w drodze przypadku, trafiają do rąk dzieci, początek normalnej, świadomej lektury dzienników ma miejsce pomiędzy 15 — 18 rokiem życia. Przyjmijmy jako granicę 17-ty rok życia. Na zasadzie danych Głównego Urzędu Statystycznego szacunkowo można ustalić, że obywatele liczący mniej, niż 17 lat stanowią około 38% ogółu ludności Polski, t. j. 12,8 milj. Pozostali w liczbie około 21 mil., ze względu na wiek mogliby być czytelnikami dzienników. Wprowadźmy jednak kryterium umiejętności czytania: wyżej podana liczba rozpada się na dwie grupy: 32,7% t. j. 6.9 mil. stanowią analfabeci; resztę 14,1 miliona, stanowią ludzie umiejący czytać. Pierwsza grupa — to ludzie dla czytelnictwa straceni. Druga — stanowi właściwy rynek czytelniczy.

Miarą zdolności konsumcyjnych rynku czytelniczego jest ilość rozchodzących się pism. W tej dziedzinie rozporządzamy jedynie dość przybliżonymi danemi i to tylko w odniesieniu do dzienników. Opierając się na konsumcji papieru rotacyjnego, liczbę egzemplarzy dzienników, drukowanych rocznie w Polsce, można określić na około 722 mil. Odpowiada to około 2 mil. egzemplarzy dziennie. Należy jeszcze ustalić liczbę zwrotów. Znów trzeba oprzeć się na szacunku przybliżonym, gdyż nie istnieją żadne ogólne w tej mierze. Wiadomo, że co do ilości zwrotów istnieją ogromne różnice między poszczególnymi wydawnictwami. Dzienniki o typie kolportażowym mają dużą liczbę zwrotów, dochodzącą do 30 — 40%, pisma, oparte w przeważającej mierze o prenumeratę, pracują przy minimalnej ilości zwrotów. Nadto wziąć należy pod uwagę, iż cała prasa Polski Zachodniej, reprezentująca poważne nakłady, silnie ogranicza ilość zwrotów. Bliskie prawdy będzie określenie przeciętnego procentu zwrotów (z uwzględnieniem prenumeraty) na 10 — 15%. Uwzględniając zwroty, otrzymamy liczbę 1,7 — 1,8 mil. egzemplarzy jako miarę dziennej konsumcji gazet. Liczba ta obliczona jest może nieco zbyt optymistycznie, jednak z braku danych ścisłych skazani jesteśmy w tej dziedzinie na posługiwanie się danemi przybliżonymi.

Zestawmy liczby wyżej podane. Dadzą one wskaźnik poziomu konsumcji dzienników. 14 — 15 milionów czytelników nabywa dziennie 1,7—1,8 miliona dzienników. W Polsce 1 egzemplarz sprzedany przypada średnio na 8 — 9 ludzi, umiejących czytać.

Aby uzyskać miarę dla oceny stosunków na polskim rynku czytelniczym, należy porównać je z analogicznymi stosunkami zagranicą. Dla celów porównawczych w dziedzinie prasy nadają się specjalnie stosunki niemieckie, gdyż prasa niemiecka strukturalnie zbliżona jest do prasy polskiej. Również i pod względem struktury gospodarczej Niemcy posiadają więcej analogii z Polską, niż którykolwiek z pozostałych krajów zachodnio-europejskich.

Ludność Niemiec wynosi około 66,2 mil.; małoletni (od 16 lat włącznie) stanowią ok., 26,2% t. j. 17,3 mil. Po wyeliminowaniu tej grupy, pozostaje 48,9 mil. Niemców w wieku ponad 16 lat. Analfabetów wśród nich niema zupełnie — niemiecki rynek czytelniczy to 49 mil. ludzi. Dzienników sprzedawano w Niemczech w połowie r. 1935 15,8 mil. egzem-

plarzy dziennie. Zestawiając te cyfry możemy stwierdzić, że w Niemczech 1 egzemplarz dziennika przypada na 3 ludzi umiejących czytać".

ODEZWA DO MŁODZIEŻY.

Oddział warszawski Stow. dyrektorów polskich szkół średnich państwowych oraz oddział warszawski Stowarzyszenia dyrektorów polskich szkół średnich prywatnych i samorządowych ogłosiły następującą odezwę do młodzieży akademickiej:

Wypadki, które w ostatnich czasach miały miejsce na terenie szkół wyższych głęboko nas zaniepokoiły, nie tylko jako obywateli, ale także jako waszych byłych wychowawców.

Poczuwamy się bowiem w znacznej mierze do odpowiedzialności za poziom etyczny młodzieży, która opuściła kierowane przez nas szkoły średnie.

Jesteśmy przekonani, że atmosfera polskiej kultury duchowej, etyki chrześcijańskiej i karności obywatelskiej, którą stwarzali wychowawcy Wasi, pracując z Wami w szkole średniej, nie mogła stać się Wam obca po opuszczeniu murów tej szkoły; jesteśmy raczej skłonni sądzić, że wiadome wykroczenia popełniane przez garstkę młodzieży, należy uznać za błędy młodości w pierwszych latach samodzielnego życia i t. zw. swobody akademickiej.

Niemniej jednak stwierdzić musimy, że błędy te daleko przekroczyły granice tego, co można zrozumieć i wybaczyć.

Dlatego zwracamy się do Was z gorącym apelem, abyście w imię polskiej kultury i honoru przeciwstawili się zorganizowanym wybrykom stanowczą postawą, nacechowaną świadomością obywatelską i usiłowaniem stworzenia na terenie szkół wyższych warunków pracy i życia, jakich wymaga niezbędnie rozwój nauki i kultury polskiej".

POSTULATY PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH

Na konferencji przedstawicieli Związków Pracowników Umysłowych w Warszawie (związki te należą do Centralnej Komisji porozumiewawczej związków pracowniczych) wysunięto postulaty następujące:

1. Utrzymania stałości waluty.
2. Podwyższenia płac pracownikom prywatnym, państwowym i samorządowym.
3. Ustalenia minimum i maximum zarobków pracowników, w granicach od 200 zł. do 2.000 zł.
4. Skrócenia czasu pracy bez obniżania wynagrodzeń — jako konieczny warunek uczciwie i szczerze prowadzonej walki z bezrobociem.
5. Uruchomienia publicznych robót inwestycyjnych dla zatrudnienia bezrobotnych.
6. Poprawy warunków pracy przez zmianę pragmatyki pracowniczej.
8. Wprowadzenia umów zbiorowych.
9. Udziału organizacji pracowniczych w kwalifikowaniu, przyjmowaniu i zwalnianiu pracowników.
10. Ustawowej ochrony wolności przekonań i działaczy związkowych, prawa koalicji, wolności prasy i stowarzyszeń.
11. Pełnego samorządu Ubezpieczalni Społecznej.

Dla zrealizowania tych postulatów Stołeczna Komisja Porozumiewawcza przystępuje do akcji masowej, — przy ścisłej współpracy z bratnimi organizacjami. W tym celu zostanie zwołany na dzień 12 i 15 grudnia Stołeczny Kongres pracowniczy. Wszystkie organizacje pracownicze stolicy proszone są o jak najliczniejszy udział.

Na konferencji uchwalono następującą rezolucję:

„Pracownicy umysłowi, w pełni poczucia odpowiedzialności za losy państwa domagają się istotnego przedstawicielstwa warstw pracujących w ciałach ustawodawczych".

GRANICE AUTONOMII

P. Stefan Czarnocki, profesor socjologii Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego udzielił wywiadu współpracownikowi *Dziennika Popularnego*. Prof. Czarnocki oświadczył m. in.:

„Ustawa zapewnia wyższym uczelniom nie tylko autonomię wewnętrzną, ale także nietykalność terytorialną. Oba te przywileje stanowią podstawowe gwarancje swobody nauczania i swobody rozwoju życia akademickiego. Z chwilą jednak gdy autorytet moralny ciała nauczającego jest ignorowany, gdy władze akademickie nie umieją znaleźć na to skutecznej rady, a autonomia terytorialna szkół wyższych jest wyzyskiwana dla organizowania pogromów, obawiam się, że autonomia zostanie narażona na niebezpieczeństwo.

Ani społeczeństwo, ani władze nie będą mogły długo tolerować stanu, w którym autonomia szkół wyższych jest gwarancją bezkarności dla autorów burd i krwawych bijatyk, nie zaś wolności nauczania. O nauczaniu w ogóle nie może być mowy w atmosferze nieustannego napięcia, gdy byle okrzyk za oknem, byle intensywniejszy trochę ruch na korytarzu wprowadza audytorium w stan napięcia, gdy nieomal codziennie profesorowie i studenci czekają tylko na to, kiedy wybuchnie awantura.

Muszę stwierdzić, że udział w akcji antysemickiej musi doprowadzić do obniżenia poziomu moralnego młodzieży, biorącej w niej udział, pomijając już tę kwestię, że współobywatele-Żydzi płacą jednakowe podatki przy jednakowych innych warunkach i że Konstytucja nie przewiduje podziału na obywateli pełnowartościowych i obywateli drugiej klasy.

Stwierdzić należy również, że burdy, aczkolwiek z haseł swych wyłącznie antysemickie, godzą przede wszystkim w młodzież chłopską, robotniczą i pracowniczą i tym samym utrudniają wyzwolenie intelektualne i społeczne klas pracujących".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Romual Mielczarski: Pisma. Tom I i II. Nakładem Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców R. P. Warszawa 1936.

W. Kiślańska: Za jednego gromada. Nakład „Społem". Warszawa 1936.

Iza Nicholson: Promień słońca. Z dziejów angielskiej spółdzielczości spożywców. Nakład „Społem". Warszawa 1936.

Edward Szymański: A — B — C. Ilustracje Franciszki Themerson. Nakład „Społem". Warszawa 1936.

Józef Łobodowski: Rozmowa z Ojczyzną. Poezje. Warszawa 1936. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Albin Dziekoński: Rzeczy podejrzane. Poezje. Warszawa 1936. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Stanisław Brochwicz: Kobiety, które odeszły. Powieść. Warszawa 1936. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego:

O właściwy poziom kształcenia nauczycieli szkół powszechnych. Warszawa 1936. Sk. główny: „Nasza Księgarnia".

O właściwy stosunek do pracy nauczyciela. Warszawa 1936. Skład główny: „Nasza Księgarnia".

Dr. Antoni Peretiatkowicz: Polska Deklaracja Konstytucyjna z 1935 r. Analiza prawno-filozoficzna. Poznań 1936.

Bolesław Leśmian: Napój cienisty. Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Mortkowicza, Pod znakiem poetów, seria nowa.

Antoni Gronowicz: Prosto w oczy. Lwów 1936. Nakładem „Księgarni Nowoczesnej".

Jarosław Iwaszkiewicz: Młyn nad Utratą. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

Herminia Naglerowa: Krauzowie i inni. Tom III. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1936.

Aleksy Rżewski: Szlakami walki i buntu. Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Nakł. księgarni S. Seipelt. Łódź 1936.

Stanisław Rachalewski: Baśń i Legenda Łodzi. Ilustrował Franciszek Walczowski. Nakładem księg. S. Seipelt. Łódź 1935.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Janowi Z. w Katowicach. Dziękujemy. Na to są trudności, żeby je zwalczać.

Pani Marii G. w Sosnowcu. Nie zawsze prawda jest „po środku". Kiedy jeden mówi, że dwa razy dwa jest cztery, a drugi, że dwa razy dwa jest pięć, to nie znaczy, że dwa razy dwa jest cztery i pół...

Panu Zdzisławowi M. we Lwowie: Nie do druku.

Panu Kazimierzowi L. w Toruniu. Niemożliwie kwieciste. Więcej prostoty!

Pani Helenie K. w Łowiczu. Skorzystamy.

Panu St. L. W. w Łodzi. Nie możemy zamieścić.

Panu Edwardowi M. w Piotrkowie Czytaliśmy. Nie wszystkim się odpowiada.

Pani Janinie K. w Grodnie. „Epoka" wychodzi dwa razy miesięcznie z datą 5-go i 20-go każdego miesiąca.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3181 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.